

# ROZDZIAŁ 1

---

## WPROWADZENIE

---

*Najbardziej abstrakcyjną ideą, jaka daje się pomyśleć,  
jest genialność zmysłowa.*

*Jakie medium może je przedstawić?*

*Jedynie i wyłącznie muzyka.*

*Jest ona siłą, burzą, niecierpliwością, namiętnością,  
czymś z gruntu lirycznym.*

Søren Kierkegaard, *Enten – Eller*, 1843

(Kierkegaard, 1970, s. 31)

### 1.1.

## Przedmowa

---

Nic nie zapowiadało, że kiedykolwiek napiszę książkę, tym bardziej kilkusetstronicowy podręcznik akademicki. To miłość zaprowadziła mnie do tego momentu w życiu. Poświęcę jej przedmowę *Zarażonych dźwiękiem*. Ostrzegam, ta część nie jest napisana językiem akademickim. Początek i zakończenie książki pragnę uczynić bardziej osobistą przestrzenią. Zadbaj o bliższą relację między autorem a czytelnikiem. Poznajmy się zatem.

Piszę te słowa w siódmym roku pracy nad książką, która jest już prawie gotowa, a także w piątym roku od porzucenia szalonej pracy 24/7 w branży eventowej. Nadal jestem aktywny na rynku muzycznym i marketingowym, ale już nie spieszę się jak dawniej. Pasja, której poświęciłem tak wiele lat, oczywiście, nadal trwa. Ale moje życie bardzo się zmieniło. Mam wrażenie, że moja relacja z muzyką wznosi się dzisiaj na inny poziom wtajemniczenia.

Powiedz mi, czego słuchasz, a powiem ci, kim jesteś...

Włączyłem właśnie utwór *Music* w wykonaniu Johna Milesa z 1976 roku. Dawno go nie słyszałem. Fragment tego, nieco monumentalnego w warstwie muzycznej, manifestu Milesa brzmi: *życie bez mojej muzyki byłoby niemożliwe, bo w tym świecie*

*pełnym problemów moja muzyka pcha mnie do przodu.* Ten tekst jest dobry na początek naszego spotkania.

Muzykę kocham od dziecka. Podobnie może stwierdzić miążdżąca większość czytelników. Potwierdzają to także wyniki moich badań, które prezentuję w tej książce. Zapewne macie podobnie do mnie. Pamiętam swój pierwszy magnetofon i kasety, pierwsze koncerty polskich artystów, pierwsze podśpiewywanie w domu, pierwsze audycje radiowe w Dwójce i Trójce z Markiem Niedźwieckim, Tomaszem Beksińskim, Markiem Gaszyńskim czy Bogdanem Fabiańskim. Pierwsze winyle *The Dark Side of the Moon* Pink Floyd, *Akademia Pana Kleksa* Andrzeja Korzyńskiego i pierwszą płytę Lady Pank. Wreszcie pamiętam pierwsze spotkania z wielkimi gwiazdami polskiej estrady w domu rodzinnym. Dobrze zapamiętałem Jonasza Koftę, Krystynę Prońko, Krzysztofa Krawczyka, Halinę Frąckowiak, Marka Bilińskiego, Zdzisławę Sośnicką, Ewę Bem czy duet Marek i Wacek.

Najważniejszym przełomem w moim muzycznym życiu był koncert Pat Metheny Group, który wszystko we mnie obudził. Było to w pierwszej połowie lat 80. podczas festiwalu Jazz Jamboree. Artyści promowali wówczas swój koncertowy album *Travels*. Byłem w wieku mojego syna, chodziłem do podstawówki. Siedzieliśmy z ojcem w warszawskiej Sali Kongresowej w Pałacu Kultury, dosyć wysoko, z lewej strony amfiteatru. Cóż to była za uczta! Pamiętam, że było ciemno i bardzo zaskoczyły mnie te dźwięki, ta motoryka, ten baśniowy świat muzyczny. Wgapiałem się w kosmicznie wyglądające, świecące na czerwono i jakże inaczej brzmiące gitary Pata. *Podkład* już miałem, dzięki słuchaniu *czarnej muzyki* z lat 70. na winylach, na *nielegalu* w gabinecie taty.

A później wszystko poleciało z góry, szukałem siebie w muzyce. Zdarzyły się więc: okres punkowy, rockowy i Róbrege, okres bluesowy, okres piwniczny – krakowski, Stonesi i Faith No More w Pradze, okres klubowy, w tym rave. Aż przyszedł czas sklepu Indigo, klubu Filtry i moich przyjaciół tam grających. Rock połączył się z funkkiem, nadeszła taneczna elektronika, tam poznałem lepiej rap i techno. Beastie Boys słuchałem już od początku liceum. Koncert Red Hot Chili Peppers w Berlinie Wschodnim w 1992 roku to też było coś. Niesamowity mix. Tak właśnie narodziły się Pozytywne Wibracje. I taka muzyka została we mnie na dobre. Później pojawiły się światy Pinacolady, Pieprzu i Wanilii czy Sygnowano Fabryka Trzciny. Razem z niezującym już Michaeliem Moritzem wydaliśmy też funkowe After Hours. Pracując przez 5 lat w Universal Music Polska, zjechałem setki koncertów, jednej nocy poznałem chłopaków z U2 i Howie’ego B. Spotkanie z moją ukochaną Sinead O’Connor na ulicy w Dublinie, podczas Eurowizji z Anią Jopek w 1997 roku, to także osobna opowieść. Wciąż odkrywałem nowe przestrzenie, gotowy na jeszcze więcej różnorodnej muzyki.

Po trzydziestce pokochałem jazz i muzykę poważną. Uwielbiam operę, Konkursy Chopinowskie, pianistów i koncerty symfoniczne. Zarazem nadal nie rozumiem muzyki współczesnej i źle na nią reaguję.

Mam też swoich idoli, którym jestem wierny już od kilkudziesięciu lat. Bardzo intensywnie interesuję się życiem i słucham wszystkich nagrań w wykonaniu jednego z najwybitniejszych polskich pianistów Artura Rubinsteina. Przez lata byłem psychofanem Prince'a (jego trzech koncertów, na których byłem, z całą pewnością nigdy nie zapomnę) i Davida Bowie. Kształtowało mnie także tworzenie audycji muzycznych dla moich słuchaczy w Radiu PiN przez 9 lat i w Radiospacji – przez ponad 2 lata. Dzisiaj, można powiedzieć, że symbolicznie, z radością i największą przyjemnością, wracam do tych klimatów *starych winyli u ojca*. Moją kolekcję wielu tysięcy płyt CD zamieniłem na playlisty na Spotify. Im mniej się dzieje w muzyce popularnej, także tej światowej, tym więcej wynajduję pereł z czasów minionych. To jest jak *never-ending story*, nigdy nie jest tak, że znamy już wszystko. I to jest piękne.

Ufam, że niedługo, na dodatek niedrogo, będziemy *streamowali* koncerty. Wyświetlimy je w jakości 3D, a może i 4DX na pół ściany w salonie<sup>1</sup>. Nie boję się jednak o przyszłość biznesu koncertowego. Skoro radio nie zastąpiło koncertów, to i *streaming* tego nie uczyni. Muzyka *na żywo* nie może się znudzić, tego doświadczenia nie da się zastąpić, nawet przez użycie najbardziej wyrafinowanej technologii. Widziałem w życiu tysiące koncertów w Polsce i na całym świecie. Wziąłem udział w setkach festiwalu. Sam zorganizowałem około 150 koncertów, tak artystów polskich, jak i wielkich gwiazd zagranicznych. Większość z nich organizowaliśmy z moim współnikiem dla przyjemności, wynikało to z naszej pasji i tak zwanej *zajawki*. Wiem, że nasza publiczność to wyczuwała. Współorganizowałem też kilka festiwalu muzycznych i kilka wielkich imprez masowych, nawet dla 100 000 osób. Przeżycie dobrego koncertu, na dodatek ulubionego artysty, czy też wyjazd na festiwal z przyjaciółmi to dla mnie prawdziwe święto i żadna – nawet szybko zmieniająca się – *kultura iwentu*<sup>2</sup> tego nie zmieni. Nie ma nic piękniejszego.

Natomiast jedynym festiwalem na świecie, na którym – każdego dnia – od południa do późnej nocy przesiaduję wyłącznie na koncertach, a towarzystwo schodzi na drugi lub trzeci plan, to *North Sea Jazz* w Rotterdamie. Tu moim towarzyszem jest po prostu muzyka – piętnaście scen i 1200 wyśnionych artystów w jednym miejscu

<sup>1</sup> Prognozuję, że już za kilka, maksymalnie kilkanaście lat będziemy wyświetlali w dowolnym miejscu złożone światy, podobne do VR i Metaverse, jako obrazy jakości lepszej niż 8K UHD.

<sup>2</sup> Nawiązuję tu do znakomitej pracy pod tym tytułem *Wielozmysłowa kultura iwentu* z 2010 roku, autortwa Tomasza Szlendaka, wspominam o niej w dalszej części książki.